

Ładne kwiatki

Początkowo główna bohaterka może siedzieć przed lustrem i robić sobie niewielki makijaż. Potem jednak, wraz z upływem czasu, powinna wykonywać inne czynności, takie jak, np., podlewanie kwiatów i ich pielęgnacja, zrobienie sobie drinka czy czegoś innego do picia, itd., itp. Poza tym w pomieszczeniu może sączyć się z głośników utwór M. Jakubowicz *Kiedy będę starą kobietą*.

Po pewnym czasie.

Aktorka: Tak się zastanawiam, czy dzisiejszy dzień powinien być jakoś szczególny. W końcu to dzień moich sześćdziesiątych pierwszych urodzin, więc... Przyznam jednak, że nie wiem. Co, nie wyglądam na tyle? To pewnie sprawa odpowiednich genów, to znaczy odpowiednio dobrych genów. Chociaż także, myślę, należytego prowadzenia się. Mam tutaj na myśli, oprócz codziennej dawki pożytecznego ruchu naturalnie, również właściwe odżywianie, to znaczy nie zaśmiecanie organizmu różnego rodzaju zbytecznymi produktami typu szybkie żarcie – zupki w proszku, jakieś konserwy, alkohol w nadmiarze, papieroski, no i zgubne ze wszech miar słodczy. Jak widać żadna odkrywca filozofia na miarę Kolumba czy kogoś podobnego, niemniej to właśnie – tak uważam – zapracowało na mój dzisiejszy wygląd. I powiem jeszcze, że cholernie dobrze się z tym czuję. Szczególnie w takim dniu jak dzisiaj – w dniu moich sześćdziesiątych pierwszych urodzin! Chociaż, prawdę mówiąc, to taki sam dzień jak każdy inny. No, może nie taki sam, ale, tak naprawdę, niewiele zmieniający. Poza jednym: będę starsza o kolejny dzień. Więc, tak naprawdę, nie ma się z czego cieszyć i czego znowu zazdrościć. W ogóle o czymś takim jak urodziny powinno się od pewnego momentu raczej

zapomnieć. Wymazać z pamięci, wykoresować, czy, jak to mówią młodzi – wyczyścić dilitem. Oczywiście dla siebie, dla psychicznego zdrowia. Ponieważ, niestety, każdy kolejny rok, to coraz większe przygnębienie. Nie radość z okazji, przyjmowanie gratulacji, prezentów, a właśnie przygnębienie! Bo to coraz gorsza pamięć, coraz większe zniedołężnienie, coraz mniejszy krąg znajomych, coraz większa zależność od innych i w ogóle coraz więcej pojawiających się ograniczeń. Nawet nie chce mi się o tym mówić.

Pauza

A wiecie, nigdy nie myślałam że dożyję takiego wieku. Niby wiadomo – kobiety żyją dłużej od mężczyzn, coś nieco ponad osiemdziesiątkę, ale to tylko nic nieznacząca dla poszczególnych jednostek statystyka. Równie dobrze mogłam takiego wieku nie dożyć. Kiedyś czterdzieści lat wydawało mi się wręcz starością, a teraz... teraz sama mam półtora razy tyle i... I wcale nie czuję się stara! Niemniej, z drugiej strony, taki wiek do czegoś zobowiązuje. Oprócz tego, że to zamknięcie pewnego etapu w życiu, to również, na dodatek, całkiem niezły moment na pewnego rodzaju podsumowanie. Tylko że ja w zasadzie akurat dzisiaj na żadne podsumowania nie mam ochoty. Zawsze wszelkie rocznice miałam w dupie, więc i tym razem też nic się nie zmieniło i nie skorzystam z tak zwanej okazji do jakiegoś rozliczenia się ze swoim życiem. Nigdy nie byłam kobietą jakoś przesadnie rozczulającą się nad sobą, upływającym czasem i nad tym, co mogłam a nie zrobiłam, bo... Bo po prostu życie tak się ułożyło a nie inaczej i tyle. Nie ma co nad tym dywagować i roztrząsać tematu. Powiem wam za to o tym, co w moim życiu – przynajmniej do

niedawna – jakieś cztery, pięć lat temu, było cholernie ważne. Może nie najważniejsze, ale na tyle istotne, że niejako stymulowało całą resztę. Chodzi mianowicie o seks.

Pauza

Myślicie pewnie, że babcia sfiksowała i na stare lata mi odbija. Nie zaprzeczajcie – przecież widzę. Ale mylicie się. I to diablo strasznie się mylicie. Powiedziałam „diablo”? Co za wyszukane słownictwo! Chociaż musicie wiedzieć, że w czasach mojej młodości więcej było takich dzisiaj zupełnie zapomnianych określeń. Zresztą nieważne.

Pauza.

Pozwolicie, że zanim zacznę, naleję sobie czegoś przyjemnego dla podniebienia. W końcu nie codziennie kończy się sześćdziesiąt jeden lat. A liczyć na to, że ktoś będzie o tym pamiętał, to tak jakby być wybranym na loterii.

Po dłuższej chwili.

Więc, jak już wcześniej wspomniałam, kończę dzisiaj sześćdziesiąt jeden lat, a na imię mam Alicja. Mam jeszcze męża, dwóch dorosłych synów i córkę. To cały mój stan posiadania. Wszyscy są, tak mniemam, mocno osadzeni w rzeczywistości, to znaczy pokończyli studia, córka wyszła za mąż, a synowie się ożenili. Mam nadzieję że dobrze i że są szczęśliwi. Przynajmniej sprawiają takie wrażenie, więc chyba są. Z zawodu jestem dyplomowaną pielęgniarką. Ściślej – byłam, bo już od roku nie pracuję. Właśnie mija mój pierwszy rok na emeryturze... Czy to ważne zwłaszcza w kontekście tego, co chcę wam tutaj dzisiaj powiedzieć? Nie wiem. Może. Trochę. A może w ogóle. Nieważne. Istotne, że mam sześćdziesiąt jeden lat i... i jeżeli mi czegoś

dzisiaj brakuje, to w zasadzie tylko jednego: seksu i czerpanej z niego przyjemności. Nie dzieci, wnuczków, zabaw z nimi, ale właśnie seksu. Jego brak odczuwam najdotkliwiej! I powiem wam, że nie mogę się z tym w żaden sposób pogodzić. Nie mogę pogodzić się z tym, że nie mam na niego już po prostu ochoty. Co prawda walczę, buntuję się, próbuję jakoś przeciwdziałać, ale, jak się okazuje, wszystko na nic. Chyba przyjdzie mi to statecznie zaakceptować, przegrać z naturą. Choć, jeżeli tak się stanie, będzie mi bardzo ciężko. Tym bardziej, że stanowił on dla mnie cholernie ważny czynnik w moim życiu. A najgorsze chyba, że chcę, żeby jeszcze stanowił. Chcę! Tak po prostu. Czy to źle?

Pauza

Dawniej myślałam, że jak już będę stara i nie będę mogła się kochać, to najzwyczajniej w świecie nie będę żyła, że to będzie jak umieranie. Nie śmierć, a właśnie takie powolne umieranie. I wiecie? Właściwie tak jest. Bo w zasadzie życie bez tej dawki przyjemności, bez tej formy relaksu, to tak naprawdę powolne fizyczne umieranie. Możecie nie wierzyć, ale jak będziecie mieć moje lata, to... Zresztą, co ja was, głupia baba, będę straszyla. Pożyjecie – same zobaczycie. Czy raczej doświadczycie. Ja wiem tylko tyle, że zawsze to uwielbiałam. Nie zawsze oczywiście tak było jakby się chciało, ale to już inna bajka. A muszę przyznać, że nie zaczęło się tak znowu kolorowo.

Pauza

Dziewictwo straciłam w wieku piętnastu lat. Z kolegą ze szkoły. Taka bardziej gra hormonów niż zauroczenie i, niestety, było tak bardzo do dupy, że zrobiłam sobie od tego

dwuletnie wakacje. Myślałam, że tak kiepsko jest zawsze, więc jakoś specjalnie nie spieszyłam się do następnego razu. To było takie brutalne zderzenie rzeczywistości z moją wyobraźnią na ten temat, wyniesioną z książek, filmów i rozmów z koleżankami. Zresztą nie było wtedy odpowiedniej literatury na ten temat i do nikogo nie można było się zwrócić. To był jeden z tych tak zwanych tematów tabu. Wstydlivy. O tym się nie rozmawiało, więc nic dziwnego, że byłam w tych sprawach cholernie zielona i nieprzygotowana. Dlatego też dopiero po mniej więcej dwóch latach od tego rozczarującego zdarzenia, doszło do normalnego stosunku. Nie muszę chyba dodawać, że oczywiście z kimś innym. Do tego momentu musiała mi jednak wystarczyć masturbacja. Nie mówię, że z tym chłopakiem to był od razu kosmos, ale swoje potrafił na tyle porządnie zrobić, że nie czułam większego rozczarowania. Czasami tylko, jak nie dawał rady, musiałam jakoś sobie pomóc, więc kończyłam sama. W wannie. Albo pod prysznicem. Gdy kierowałam strumień ciepłej wody w odpowiednie miejsce w kroczu. No po prostu... O, nawet jak teraz o tym mówię, to robi mi się ciepło w żołądku. Uff! Zresztą, do niedawna jak czułam jakieś emocjonalne napięcie, czy w ogóle miałam ochotę na seks a Piotra nie było w domu, to po prostu szłam do sypialni, brałam wibrator i... znów wszystko było we właściwych kolorach i odcieniach. Dostawałam takiego kopa, taki porządny zastrzyk optymizmu, że aż chciało się żyć! Dlatego powiedziałam na początku, jak ważną rolę w moim życiu on odgrywał. On mnie najzwyczajniej w świecie utrzymywał w zdrowiu psychicznym. A dzisiaj, co? Dzisiaj nawet ochota na masturbację mi przeszła. Może ktoś zapytać: „Okej, ale gdzie w tym wszystkim miłość?” Oczywiście że była. Tylko

trochę później. Gdy wychodziłam po raz pierwszy za mąż. Za Adama. Był moim rówieśnikiem. Mieliśmy po dwadzieścia trzy lata i byłam nieprzytomnie zakochana. Robiliśmy to codziennie po kilka razy. Można powiedzieć, że bzykaliśmy się tak, jak te pracowite pszczołki pracują – jakby w jakimś niewytłumaczalnym zapamiętaniu. Aż do jego śmierci. Tylko nie zrozumcie mnie źle – nie w łóżku, naturalnie. Zginął w wypadku. Siedem lat później. Pamiątką po nim, trwałą pamiątką po związku z nim jest nasza córka – Anna. Mam nadzieję, że ma udane życie seksualne. Mając takich rodziców, myślę, że powinna mieć. W końcu geny do czegoś zobowiązują. Czyż nie?

Pauza.

Przez bardzo długi czas nie mogłam się otrząsnąć z tego. Ale życie to przecież nie pogrzeb, a ja miałam dla kogo żyć, więc, koniec końców, z czasem ponownie zaczęłam zwracać uwagę na innych mężczyzn. A że zawsze byłam atrakcyjna i zadbana, to i adoratorów kręcących się wokół też nie brakowało. I tak trafił się Andrzej, mój drugi mąż. Był starszy ode mnie o osiem lat, ale w łóżku, niestety, widać tego nie było. Dlatego początkowo zbliżenia z nim nie należały do najbardziej udanych. No, ale że ja nigdy w tych sprawach nie byłam jakoś specjalnie pruderyjna, więc powolutku dopracowaliśmy się wspólnego języka erotycznego. I o ile z Adamem przeważały u mnie orgazmy pochwowe, o tyle z Andrzejem zaczęły się pojawiać również lechtaczkowe. Wiecie o czym mówię? No. Więc o ile z Adamem biłam rekordy w osiągnięciu orgazmów, na przykład potrafiłam w ciągu jednej nocy osiągnąć ich nawet pięć, sześć, czy siedem – oczywiście uwarunkowane to było naszym młodym wiekiem – o tyle z Andrzejem była to już

większa gama przeżyć i również inna ich intensywność. Ale w końcu i ja byłam dojrzała, więc to jakby normalne i właściwie nie ma się czemu dziwić. Miałam to szczęście że obu kochałam, więc to w sferze samych kontaktów cielesnych jakby wiele załatwiało. Chcę przez to powiedzieć, że gdy się kogoś kocha, to ewentualne niedociągnięcia w sferze erotycznej nie stają – że się tak wyrażę – na ostrzu noża i można nad nimi popracować. W końcu jesteśmy dla siebie. Mamy dużo czasu. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby się dogłębnie poznać, otworzyć na siebie, na swoje oczekiwania i pragnienia. I tak też było ze mną i Andrzejem. Z Adamem, niestety, tego czasu, jak się później okazało, za dużo nie mieliśmy. Może dlatego z czasem pozwalaliśmy sobie z Andrzejem na więcej? Nie wiem. Może po prostu też tego chciałam – chciałam pokonać jeszcze jedną granicę dzielącą nas, aby zbliżyć się jeszcze bardziej do siebie. Zresztą, czego się nie robi dla mężczyzny, którego się kocha i z którym chce się być na zawsze. Jeżeli nawet nie wszystko, to przynajmniej prawie wszystko. A ja już mam taką naturę, że jak kogoś Kocham i jestem z tym kimś, to chcę do niego należeć cała i bez żadnych ograniczeń. Że tak powiem od czubków palców u nóg do samego czubka głowy. I tego samego zresztą oczekuję od partnera. Przede wszystkim bezgranicznego oddania i lojalności. Niestety, jak się wkrótce miało okazać z Andrzejem, szczególnie w kontekście tych moich oczekiwań, to była mina. Nadużył mojego zaufania, podeptał uczucia i w ogóle zniszczył wszystko, co było piękne między nami. Co innego, gdy uczucie się wypala, dwoje bliskich sobie do niedawna ludzi obojętnie na siebie i podejmują dojrzałą, przemyślaną wspólnie decyzję o rozstaniu. Ale zdrada? Nie, to nigdy nie mieściło się w moich kanonach moralnych. Nie było innego

wyjścia – musieliśmy się rozstać. Mimo że klękał, przyrzekał, że nic do tej kobiety nie czuje, że już nigdy nie zrobi nic podobnego i takie tam, postanowiłam być twarda i konsekwentna. Może i mówił prawdę, może ja mogłabym wybaczyć i zapomnieć, czy też raczej próbować zapomnieć, tyle tylko, że ja już nie znalazłam w sobie tych pokładów nadziei by powtórnie uwierzyć. Po prostu nie potrafiłam już uwierzyć jego słowom. Coś się we mnie bezpowrotnie załamało. No bo jak może być inaczej, gdy człowiek, któremu się ufa, który powinien stać jak skała przy naszym boku, wspierać nas, okazuje się, że tak naprawdę nas nie szanuje, prowadzi podwójne życie i w ogóle nas oszukuje! Czy można zrobić coś innego niż się rozstać? Bardzo łatwo jest zrujnować zaufanie, o wiele trudniej je odbudować. Myślałam wtedy, że jak zrobił to raz, to znaczy, że zrobi to ponownie – to tylko kwestia czasu. Nie wiem, może się myliłam. Być może była to błędna decyzja. W tamtym jednak czasie czułam, że tak właśnie muszę postąpić, że jest to najlepsze wyjście dla nas obojga. Tym bardziej, że ta zdrada miała i inną konsekwencję: tamta kobieta zaszła w ciążę. Nie wyobrażałam sobie, że ojcem dziecka jakiejś nieznannej mi kobiety jest mój mąż! Nie mogłam tego zaakceptować. Przerosło mnie to. I mimo, że mój cały dotychczasowy świat zawalił się, postanowiłam być nieprzejednana w swojej konsekwencji. Oczywiście że cierpiałam – i to niewyobrażalnie! Ale czy miałam, czy mogłam tak naprawdę postąpić inaczej? Nawet dzisiaj po tylu latach, gdy o tym myślę, uważam, że jednak nie.

Pauza.

Ten okres w moim życiu miał jeszcze inne konsekwencje tej decyzji. Niestety, dużo gorsze. Potrafiłam

na przykład w ciągu jednego roku mieć nawet kilkunastu partnerów. A to na zagranicznej wycieczce przygruchałam sobie smagłego, przystojnego Włocha. A to na wczasach w górach pewnego żonkosia, który się ponoć nawet we mnie zakochał – jak mówił i myślę, że mógłby sporo nabałaganić, gdybym go w porę nie poskromiła. Taki wczasowy Casanova, cholera! A raz nawet zagięłam parol na hydraulika. No, nie takiego prosto z ulicy, przypadkowego – tak przyparta do muru to jeszcze nie byłam na szczęście – ale znajomego sąsiada. Innym znów razem – nie uwierzycie – miałam ochotę na takiego zwykłego, prostego chłopaczka. I napatoczył się taki rosty, łysy osilek, że – jak to mówią dzisiaj młodzi – klękajcie narody! Powiem tylko tyle – największe moje rozczarowanie. Taki był nieporadny z tym swoim, muszę przyznać, niemałym sprzętem i, co gorsze, brakiem czułości gry wstępnej, że właściwie natychmiast odechciało mi się wszystkiego. Ale na zewnątrz – a jakże! – mucho pełną gębą! Nie chciałam go upokarzać, więc dotrwałam do końca w tym nieudanym spektaklu nieudacznego aktora. I być może że źle zrobiłam, bo on nawet nie zauważył tego swojego prostactwa i niewyrobiaenia seksualnego, bo zaczął coś przebąkiwać o następnym spotkaniu. Tak mnie tym zdruzgotał, że właściwie początkowo zgłupiałam i nie wiedziałam, co powiedzieć. W końcu jakoś doszłam do siebie i odparłam, że tak naprawdę to kogoś mam i... sam rozumie, to był tylko taki skok w bok i że przeciąganie tego mogłoby być nie tylko dla mojego, ale i jego związku zbyt niebezpieczne. Na co odparł, że on to da sobie radę, chodzi mu tylko o mnie. Czułam się strasznie! Chciałam to jak najszybciej zakończyć, by mieć ten nieudany epizod za sobą. Powiedziałam coś, żebyśmy potraktowali to jak niewiele znaczącą przygodę, żebyśmy

byli i zachowywali się jak dorośli, czym mu chyba wjechałam na ambicję, bo na szczęście tępak zrozumiał i zakończyliśmy całą sprawę. No, ale co mnie jednak sfrustrował, to moje. Czułam się po tym przez jakiś czas po prostu paskudnie. Niestety, jak się okazało, chyba nie na tyle jeszcze źle, żeby w ogóle z tych przypadkowych kontaktów zrezygnować. Wkrótce więc pojawił się kolejny kochanek. No, ten też akurat nie był taki przypadkowy. Dawny kolega ze szkoły. Zawsze mi się podobał, więc teraz, gdy byłam sama a my przypadkowo wpadliśmy na siebie podczas zakupów w hipermarkecie, postanowiłam działać. Oczywiście, to już nie był ten sam chłopak co dawniej. Oczywiście już nie tak czarujące, bez tego młodzieńczego błysku – przyblakły, nie ta waga, przeredzone włosy – w ogóle można by powiedzieć, że właściwie wszystko było już nie to co dawniej, jednak ja postanowiłam to zrobić.

Pauza.

Po co? Ze względu na przeszłość, na nas, na mój ówczesny stan psychiczny? Być może. A w ogóle to chciałam tego i tyle. Zresztą, co tu wybrzydzać – byłam sama, a czas uciekał bezpowrotnie.

Pauza.

Ubrałam się wyzywająco, ale nie ordynarnie – wiem, że to działa na mężczyzn – więc myślałam, że z nim również tak będzie. I wiecie co? Gównno! Okazało się, że mu najzwyczajniej w świecie nie stanął! Coś tam pieprzył, że praca frustrująca, ciągle nerwy, stres, że żona go zaniedbuje i takie tam podobne pierdoły, że nikt go nie rozumie i że jest cholernie samotny. Słyszycie? On był samotny! To co ja, kurza melodia, miałam powiedzieć?! Rozwalił mnie totalnie.

Ale że byłam cholernie zdeterminowana, no i nie chciałam, żeby to się tak żenująco zakończyło, więc zabawiłam się w jakąś pieprzoną samarytanę i ostatecznie doprowadziłam go do orgazmu. Ręką. Po czym poszłam do łazienki ją sobie umyć, a następnie rzuciłam od drzwi oschle: „Do widzenia”, i wyszłam. Od tego momentu miałam dosyć przygodnego seksu. Dotarło do mnie, że tak naprawdę, to ta droga prowadzi donikąd. Nie to, żebym czuła do siebie jakiś specjalny niesmak czy coś w tym rodzaju, ale powodów do samozadowolenia też nie miałam. Prawda jest taka, że niektórych z tych facetów nie chciałabym spotkać w swoim życiu. Niestety, stało się tak, że się pojawili, na dodatek w najgorszym momencie mojego życia. Cóż miałam robić? Rozpamiętywać, gnębić się i ciągle to sobie wyrzucać? Nie chciałam tego robić, bo mogłoby mnie to nie wiadomo gdzie zaprowadzić. W najlepszym chyba wypadku tylko do jakiegoś niekontrolowanego zgorzknienia. Dlatego wyszłam z założenia, że co było – minęło i nie ma co do tego wracać i rozpamiętywać. I wiecie, co się wtedy stało? Do mojego życia wrócił spokój i, co najciekawsze i najlepsze, wkrótce również udany seks. Ten spokój i udany seks, to Piotr. Mój trzeci mąż, z którym jestem do dzisiaj i którego naprawdę kocham. Wydawało mi się, szczególnie po tym fatalnym okresie w moim życiu, że miłość to coś, co już jest poza mną, odeszło na zawsze z tymi, których kochałam. Ale jednak nie, okazało się po raz kolejny zresztą, że na miłość tak naprawdę nigdy nie jest za późno. I mimo że z moimi poprzednimi mężami robiłam prawie to wszystko co i z Piotrem, to jednak dopiero on pokazał mi, jak może być pięknie. To była wręcz eureka! Ponownie byłam szczęśliwa i chciało mi się żyć, a on miał mnie całą i do końca. Bez żadnych zahamowań. Nie było dla mnie żadnego tabu,

którego mogłabym nie przekroczyć. Łącznie z seksem analnym. Jedynej rzeczy, jakiej nie robiłam z nikim innym wcześniej. I wiecie, co wam powiem – to też było przyjemne i dawało mi satysfakcje. Zresztą, nam obojgu, więc niby dla czego mielibyśmy się przed tym wstrzymywać. Nie było najmniejszego powodu. Poza tym Piotr trafił na ten dobry okres w moim życiu, gdzie jeszcze nie byłam stara, ale już na tyle dojrzała, z pewnym doświadczeniem życiowym i przemyśleniami na jego temat – miałam trzydzieści siedem lat – że mogłam i chciałam mu dać o wiele więcej w sposób w pełni świadomy. Zarówno jako żona, kochanka i matka jego przyszłych dzieci, jeżeli takie miały się pojawić w przyszłości. No i pojawiły się. Wkrótce urodziłam mu dwóch synów. I powiem wam, że to był wspaniały okres w moim życiu. Nie było między nami żadnych kłótni, tajemnic, czy też jakichś zahamowań. Rozmawialiśmy o wszystkim. Mówiłam mu na przykład, co mnie najbardziej podnieca, gdzie mam najwrażliwsze strefy erogenne, on z kolei pytał, czy się masturbowałam, a jeżeli tak, to czy nadal to robię i czy muszę to robić, czy seks z nim mi nie wystarcza. Najkrócej mówiąc było bosko, a ja czułam się boginią. Piękny czas. W tym okresie upodobałam sobie szczególnie trzy pozycje. Jedna, to taka „po bożemu”, tak zwana „misjonarska”, bo mogłam wtedy patrzeć do woli na Piotra, na jego reakcje i wrażenia, jakie to na nim robi. Druga, to pozycja tylnoboczna. Jest świetna, bo daje możliwość fantastycznej wręcz stymulacji lechtaczki. No po prostu rozkosz!

Dłuższa pauza.

Przepraszam, ale trochę odpłynęłam. (ze śmiechem)
Wspomnienia. Trzecia natomiast, to pozycja kolanowo-

łokciowa. Wszystkie one są super i nie będę ich jakoś specjalnie tutaj zachwalała. Same zresztą wiecie najlepiej o czym mówię, prawda? Cholera!, właśnie sobie uwiadomiłam, że tak naprawdę dopiero on otworzył mnie na czerpanie z seksu przyjemności w sposób świadomy i pełny. Tak, chyba to mnie jeszcze bardziej w nim fascynowało i zbliżyło do niego. Naprawdę wspaniały czas! Pewnie to dlatego, że Piotr jest starszy ode mnie. O siedem lat. Niby niewiele, ale niewiele teraz, w naszym wieku, wcześniej, wiercie mi, to robiło różnicę. Wiadomo że trochę więcej przeżył, wyciągnął z tego wnioski i starał się nie popełniać głupich i bezsensownych błędów, które mogłyby rzutować negatywnie na nasz związek. Tak, to na pewno dzięki tej jego życiowej dojrzałości. Chociaż nie tylko. Myślę, że także dzięki jego wrażliwości na drugą stronę, na partnerkę, to znaczy w tym przypadku na mnie. Bez tej jego empatycznej zdolności nic by nie było. Dlatego jestem mu tak bardzo wdzięczna za to wszystko i chciałabym, żeby chociaż on był dzisiaj zadowolony z tych naszych zbliżeń. Choć tyle mogę dla niego zrobić. Czy raczej powinnam zrobić.

Pauza.

Ale wracając do przeszłości i naszego współżycia. Tak poza tym, to jedna rzecz musi być tutaj spełniona, żeby zaistniała jakakolwiek satysfakcja ze zbliżenia. Chodzi o grę wstępną. Co do mnie, to uwielbiam, to znaczy uwielbiałam długie, delikatne pieszczoty, namiętne pocałunki – mogłabym się w nich wtedy nawet do pewnego stopnia zatracić. Następnie lubiałam, jak Piotr dotykał mnie opuszkami palców i pieścił moje piersi, kęsając je z ogromnym wyczuciem, a potem schodził w dół do mojej pisi a swojego ołtarzyka – jak zwykł mawiać – i robił mi to tym

swoim zwinnym języczkiem. Najpierw zaczepnie, jakby leniwie, od niechcienia pobudzał ją, a następnie rozszerzał obszar pieszczot, wkładając przy tym do pochwy palec, po czym tak sprzęgał ruchy języczka i palca w jedno, że... że... No po prostu było wprost niezmiernie! Myślałam, że gdzieś najzwyczajniej w świecie odlatuję. A potem... potem dopiero we mnie wchodził i wypełniał mnie całą i... I to był już totalny odjazd! Zapominałam o całym bożym świecie, zatracalam się i czułam się najzwyczajniej w świecie szczęśliwa. Do tego stopnia, że – może to głupie – ale kilka razy po prostu nie mogłam powstrzymać łez. Tak byłam szczęśliwa i przepełniona miłością do niego. Ja oczywiście również lubiłam, to znaczy nadal lubię, że tak powiem, się zrewanżować – chociaż to nie jest najwłaściwsze słowo, bo przecież nie o to chodzi że ty mnie teraz, a ja tobie w zamian później zrobię to ustami. Nie w tym rzecz. Ale muszę przyznać, że tym większą sprawiał mi to przyjemność, gdy zauważyłam, jak bardzo to lubi. Za ten rodzaj przyjemności oddałby chyba królestwo. Chociaż mówił, że na pewno oddałby drugie śniadanie, bo z królestwem to u niego słabo. Póki co oddawał tylko – i aż – siebie. Poza tym lubiłam seks oralny. I wiecie co? Wcale nie czułam się przy tym dziwną. Po prostu lubiłam to i tyle. Nadal lubię. A jeżeli mojemu partnerowi również to sprawiało przyjemność, to dlaczego nie mielibyśmy sprawiać sobie wzajemnie tej przyjemności. Ważne, aby nikogo przy tym do niczego nie przymuszać, nikogo nie krzywdzić. A ja akurat „tym” skrzywdzona na pewno się nie czułam. Skrzywdzone są raczej kobiety, które nigdy tego nie doświadczyły. A to poprzez zakłamanie purytańskie wychowanie, a to poprzez jakieś zakazy i ograniczenia religijne, a w końcu poprzez wrodzony wstręt i uprzedzenia, i takie tam jeszcze inne powody. O!, podam

wam przykład. Pamiętacie taki film „Depresja gangstera”? Tego gangstera gra Robert de Niro. I on w pewnym momencie mówi do tego swojego psychiatry, którego gra Billy Crystal, dlaczego chodzi do burdelu. Bo nie wyobraża sobie, żeby te wszystkie wyuzdane rzeczy, które tak bardzo lubi i sprawiają mu przyjemność, robił ze swoją żoną. Bo on ją szanuje, a poza tym ona jest matką jego dzieci, które co wieczór całuje na dobranoc! Rozumiecie, co mam na myśli. Chodzi o to, że mimo że czerpie z tego typu kontaktów niewątpliwie satysfakcję, pragnie ich, to nie może sobie wyobrazić, żeby to robić ze swoją żoną, bo to brudne i niegodne i że ją to w jakiś sposób skala. Zresztą, w wielu innych filmach również występuje podobny motyw – choćby w „Ojcu Chrzestnym”. To chore! Ale prawda jest taka, że wielu mężczyzn i kobiet tak to postrzega. Niestety. A przecież reguły gry w tych sprawach powinny ustalić tylko te dwie idące ze sobą do łóżka osoby. I nic i nikt więcej! Żaden Kościół, żadne nakazy i zakazy. Tylko tych dwoje ludzi powinno ustalać granice, do których mogą się posunąć. I tyle. Oczywiście, że bym to zrobiła jakiemuś mężczyźnie, musiałam być go pewna, musiał mi być bliski – tak psychicznie, jak i fizycznie, a ja musiałam czuć się przy nim bezpiecznie. Dopiero po spełnieniu tych warunków mogłam się oddać mężczyźnie do końca i bez reszty. Dlatego robiłam to tylko z Andrzejem i Piotrem. Z Adamem nie zdążyłam się do tego modelu seksu przekonać. Po prostu byłam za młoda. Oczywiście, to nie musi być tylko mąż. To może być równie dobrze kochanek, czy nasza sympatia – wiecie o czym mówię. Bardzo ważne wydaje mi się tutaj jedno: żeby zdecydować się na taką miłość trzeba zaakceptować swoje ciało. Partnera również, oczywiście, ale najpierw przede wszystkim swoje. Trzeba uwierzyć w to, że „tam” – na dole

również jesteśmy piękne i powabne i że mężczyzna, który nas tam pieści, myśli podobnie. Reszta, gwarantuję wam, pójdzie jak po maśle. Z górki. Możecie mi wierzyć.

Pauza.

Jest jeszcze coś, co muszę wam powiedzieć. W pewnym momencie, podczas stosunków z Piotrem, zaczęłam krzyczeć i przeklinać. Mówiłam na przykład: „Pieprz mnie. No, już, rznij mnie, teraz!”. I wiecie, Piotrowi się to spodobało. Oczywiście robiłam tak, gdy dzieci nie było w domu. W końcu takiej matki to oni nie znają i, przyznam, sama nie wiem, czy chciałabym, żeby kiedykolwiek taką mnie poznali. Myślę, że kiedyś było za wcześnie, a dzisiaj... Dzisiaj na takie odkrywanie siebie przed nimi jest odrobinę za późno. Zresztą, po co im taka wiedza o mnie. Może gdyby kiedyś, kiedy byli jeszcze mali, przypadkowo byli świadkami takiego zdarzenia, może wówczas bym im co nieco powiedziała, próbowała jakoś wyjaśnić, ale dzisiaj zupełnie nie ma takiej potrzeby. Zupełnie.

Pauza.

Wiecie, co jest dzisiaj – co ja gadam?! – co jest od mniej więcej dwóch lat dla mnie istotne? To, że moje orgazmy powoli znikły. Jakbym wewnętrznie uschła. Najpierw były one coraz płytsze, krótkie i po prostu słabsze, aż w końcu znikły całkowicie. Jeszcze jakiś czas temu miewałam od czasu do czasu sny orgastyczne, w których zawsze z kimś obcym, nieznanym uprawiałam seks. Było wspaniale! Budziłam się z tętniącą miednicą i gorącym krocem, gotowa w następnej chwili przyjąć mężczyznę i odbyć z Piotrem stosunek, ale, niestety, i to trwało krótko. One też w pewnym momencie zupełnie znikły. Chociaż,

wcześniej... Nie wiem, czy w ogóle wypada o tym mówić... Zresztą, raz kozie śmierć, nie ma się czego w końcu wstydzić.

Pauza.

Więc, co do tych moich fantazji seksualnych, to powiem wam, że kiedyś... Jak wiecie – życie seksualne z Piotrem było wspaniałe, więc tym bardziej nie rozumiałam tych snów. No bo śniło mi się, że jakoby chciałam spróbować seksu z dwoma, a nawet trzema mężczyznami naraz. Uff, cholera!, w końcu wyrzuciłam to z siebie.

Krótką pauza.

Myślicie, że bardzo byłam zdemoralizowana? A może nie tylko ja miałam takie sny, co? Może inne kobiety również śnią takie rzeczy? Zresztą, to w końcu tylko sny – jeszcze nie rzeczywistość. Chociaż... Nie mówię, że nie myślałam czasami o tym w ciągu dnia. Ale to raczej z ciekawości, z chęci zrozumienia, wytłumaczenia sobie tego stanu napięcia seksualnego... Zresztą, teraz to już i tak jest bez znaczenia. Wszystko minęło. Bezpowrotnie. I moja chęć na seks, i te sny, i w ogóle wszystko. Natura zdecydowała za mnie. Najpierw, wraz z pierwszymi objawami menopauzy, pojawiły się uderzenia krwi do głowy, co skutkowało taką ogólną falą gorąca, nadmierną potliwością i zawrotami głowy, następnie doszły do tego problemy ze snem, szybciej zaczęłam się męczyć, odczuwałam bolesność w podbrzuszu i w piersiach, aż w końcu, po kilku latach od pojawienia się tych wszystkich nieprzyjemnych objawów, pojawiło się najgorsze: ta nieszczęsna suchość pochwy. To wszystko razem wzięte powoli zaczęło mnie zabijać, zabierając dzień po dniu ochotę do życia i pozbawiając złudzeń. Poczulałam się

po prostu stara, brzydka, niepotrzebna – w ogóle do dupy. A wszystko to załatwiła natura i coraz niższy poziom estrogenów. Tylko tyle – niedobór jednego pieprzonego hormonu. Moje jajniki utraciły zdolność jego produkcji. By go szlag trafił! Jeden pieprzony hormon i już jesteśmy odstawione na boczny przystanek życia. O seksie, udanym seksie trzeba zapomnieć, a na to miejsce należy zacząć myśleć o tych nieszczęsnych zmianach menopauzalnych i sposobach, które mogłyby je w jakiś skuteczny sposób załagodzić. To naprawdę przygnębiające.

Pauza.

Najgorsze w tym wszystkim, że mój Piotr nadal ma ochotę. Myślę, że bardziej na seks niż na mnie, bo moja atrakcyjność jest raczej poniżej zera. Więc mu ulegam, bo uważam, że i takie zbliżenia są istotne dla nas obojga i mają jednak swoją wartość. Żeby nie robić mu przykrości, udaję nawet pewnego rodzaju satysfakcję. Ale nie czarujmy się – jest źle. No bo jak może być inaczej, gdy u mnie nie ma tego czegoś, co sprawiało, że miałam ochotę na seks o każdej niemal porze dnia i nocy. Że po prostu czułam się kobietą! Jak może być, gdy w kroczu mam tak sucho, jak pelargonie na południowym oknie nie podlewana od tygodni. Jeszcze do menopauzy organizm dzielnie się trzymał, walczył z nadchodzącą starością, w jej trakcie też dało się jakoś wytrzymać, ale potem... potem zaczął się sypać jak domek z kart. W ogóle powiem wam, że kobieta po menopauzie usycha i wysycha dokumentnie. I dosłownie! Jest do niczego. Przynajmniej ja tak się czuję. Do bani! Ostatnia – no, może przedostatnia, oprócz jedzenia, naturalnie, przyjemność z życia została mi brutalnie odebrana. Ktoś mądry zaraz powie: „Prawo natury”. Tak, wiem. No i co z

tego? Ja się nie zgadzam, protestuję przeciwko takiemu prawu natury. Słyszycie? Nie zgadzam się! Dzisiaj jest tak, że po tych niezbyt dla mnie przyjemnych stosunkach z Piotrem pozostają mi jedynie bolesne otarcia, grzybica i leczenie. A to nic przyjemnego, wierzcie mi. Pieprzę takie prawo natury!

Pauza.

Seks, udany seks naturalnie, który kiedyś był dla mnie bardzo ważny, bo dawał mi, oprócz całej gamy fizycznych doznań, bliskość ukochanej osoby, czułość, delikatność, zapach, głos, pieszczotę, dzisiaj stał się dla mnie udręką i cierpieniem. Z tym pogodzić się nie mogę i, jak już wcześniej powiedziałam, nie chcę. I nie pogodzę się. Nigdy! Tym bardziej, że nic zastępczego nie mam. Nie zadbałam na czas o jakąś inną dla tego alternatywę, o jakieś wyjście awaryjne w postaci choćby opieki nad wnukami, czy chodzenia do Kościoła i przynależności, cholera, do jakiegoś kółka różańcowego. Zresztą, czy wnuki, nawet najbardziej kochane, albo Kościół i kółko różańcowe mogą, są w stanie zastąpić dobry orgazm? No, sami sobie odpowiedzcie, mogą? Tylko uczciwie.

Pauza.

Sami widzicie, z czym przyszło mi się na stare lata zmagać. Dlatego tak mi ciężko ten stan zaakceptować i pogodzić się z tym. A przecież z wiekiem może być tylko gorzej. W końcu nie wiadomo, co natura szkaradnego przygotowała jeszcze dla mnie.

Pauza.

Mój ginekolog, już jakiś czas temu powiedział mi, że muszę bardziej o siebie zadbać. Zmienić dietę – jeść więcej warzyw i owoców, pić jogurty, ostatni posiłek nie dalej jak około 18-tej, a w ciągu całego dnia nie więcej jak 1500 kalorii. Aha, no i nie powinnam zapominać o ruchu. „Musi pani, jak najwięcej się ruszać!” – to jego słowa. Tylko że dla mnie najlepszy ruch, to właśnie udany seks, a nie bieganie nie wiadomo gdzie i po co. Mądrała! Jemu bym kazała tak żyć. Ciekawe, czy byłby z tego zadowolony i szczęśliwy.

Pauza.

Starość jest okropna, okropna i cholernie ciężka do przyjęcia i pogodzenia się z nią. Trzeba jednak przyznać jedno: że bardzo sprytnie zaprogramowane jest nasze życie. Najpierw pojawia się zniedołężnienie jako przekleństwo właśnie starości, wkrótce starość tak nam daje popalić, że staje się w pewnym momencie już tylko przekleństwem życia, aż w końcu dochodzimy do ostatniego etapu, mianowicie śmierci, która w zasadzie w tym momencie staje się dla wielu z nas wybawieniem od wszystkich naszych przekleństw. I jest po wszystkim. Genialne! Starość jako stan, w którym nie chcemy jednak trwać zbyt długo. Naprawdę genialne rozwiązanie.

Pauza.

Ale czy jest jakieś inne wyjście?

Pauza.

No, oczywiście, jest – samobój. Ale to żadne rozwiązanie. Przynajmniej w moim przypadku. Śmierć i tak sama przyjdzie nieproszona. Wystarczy tylko cierpliwie poczekać. Ta nigdy się nie spóźnia. Można na niej polegać.

Żeby można było tak samo polegać w ciągu całego życia na innych rzeczach, to może życie mogłoby... No, coś, babciu, zaczynasz pieprzyć od rzeczy...

Pauza.

Podchodzi do kwiatków w doniczce.

Pauza.

A wiecie co – tak sobie myślę, że chyba niebawem kupimy z Piotrem jakąś działkę, żeby... żeby powoli zacząć się przyzwyczajać do ziemi. Kwiatki w doniczce to stanowczo za mało. Nie te proporcje. Myślicie, że to dobry pomysł? Że sarkastyczny? Cóż, takich nas stworzono. Nie ma się co czarować – nie jesteśmy doskonali. W końcu nie nauczono nas umierania z radością na ustach.

Pauza.

Oczywiście, ta działka to taka moja ucieczka. Coś zamiast. Jakieś kwiatuszki, jakaś zieleninka i takie tam inne pierdółki. Tylko po to, żeby się oderwać od myśli o śmierci, seksie, w ogóle od życia. Żeby się wreszcie wyciszyć, uspokoić, pogodzić ze sobą, z upływającym czasem, z nieuniknionym i nieodwołalnym – ze śmiercią. Ale powiem wam, że gdyby choć trochę ode mnie zależało moje przyjście na świat, to jednego dzisiaj jestem pewna: nie przyjąłabym go na takich warunkach, na jakich je zastałam. Wolałabym nigdy się nie narodzić, niż kiedykolwiek się zestarzeć. Ci, co mówią, że tak młodość jak i starość mają swoje plusy, po prostu pieprzą głupoty i tyle. Niczego dobrego nie widzę w starości. Starość, to bezsenność, zgrzybiałość, zniedołężnienie, coraz bardziej pogłębiające się potworne zmarszczki, choroby, usychanie, a na końcu tego

wszystkiego zobojętnienie – zobojętnienie na życie. I, jak już wcześniej wspomniałam, tutaj zaczyna się jeszcze jedno i ostatnie pragnienie – pragnienie śmierci. Starość daje nam ostatecznie tak dotkliwie w dupę, że w końcu zaczynamy pragnąć śmierci, jako wybawienia. Tak wygląda starość. Jak ktoś znajduje w tym piękno i satysfakcję i sens życia, to gratuluję. Ja tak fantastycznego poczucia humoru nie mam. Niestety.

Dłuższa pauza.

Dlatego działka to niezły pomysł na końcówkę. Kończówkę w kwiatkach.

Krótką pauza.

Nie ma co – ładne kwiatki.

Ponownie rozbrzmiewa muzyka. Tym razem jest to utwór pt. *Zamiast* Edyty Geppert.

01.02.2008 r.